Nr. 13. Rok I.



Cena prenumeraty:
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 25 Marca 1871.

Redakcja
przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

OŁGA,

księżna Ruska.

Naszkicował

ks. Lic. Cht.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Wedle nas atoli Ołga najmniéj temu winna, że misjonarze niemieccy tak źle przez jéj pogańskich poddanych przyjęci zostali, i w téj mierze bronią jéj nawet Bollandyści[1]), którzy niekoniecznie zawsze ją chwalą. Sami też niemieccy pisarze, jak Gfrörer[2]) i Pichler[3]), zwalają część winy na nieudolność misjonarzy, a mianowicie na ich nieznajomość języka i obyczajów ludu, który nawracać mieli. Trudno tedy nie przyznać, że jedynym powodem tego oburzenia niemieckich kronikarzy na Ołgę, jest żal z nieudania się tylu projektów i zamiarów, które po nawróceniu Rusi na drugim szły planie. —

Z tego atoli wszystkiego, cośmy o wysłaniu poselstwa i skutkach jego opowiedzieli, wnioskować musimy, że skoro Ołga nie zdołała fałdami płaszcza swéj opieki, swego wpływu i powagi, osłonić i otulić niemieckich misjonarzy, których w kraj swój zaprosiła, że ten płaszcz jéj, musiał być już natenczas mocno obcięty i okrojony. Potęga, znaczenie i panowanie Ołgi musiały właśnie wtedy ustać na rzecz następcy tronu, pogańskiego Swiatosława, czciciela bożyszcz pogańskich, a mianowicie owego Perkuna, co szumem sosen i jodeł odzywał się do Krywe-Krywejty, że pragnie krwi Chrześcian, aby nią ukryć smutek, jaki mu odstępcy świętego Znicza sprawili. — Tem sobie po części tłumaczym to niegościnne przyjęcie Ołżynych gości i to ich nieposzanowanie. Wypada nam tu jednakże zbadać dokładnie, jak długo Ołga sprawowała rządy państwa i w ogóle pojedyncze daty jéj życia o ile możności ściśle oznaczyć, bośmy dotąd szli za Nestorem, który w téj mierze nieszczególnym jest przewodnikiem. — Ponieważ to atoli kwestja niekoniecznie zajmująca, dla tego traktujemy ją w osobnym przypisku*), aby nie przerywać toku opowiadania.

[1]) Acta Sanctor. Bolland. Septembr. II. Dissertatio de Conv. et fide Russorum § II. 19 — 20.

[2]) Gfrörer: Gregor VII. ed. Schaffhausen 1859. T. II.

[3]) Pichler: Geschichte der kirchl. Trennung zw. Or. und Occed. ed. München 1865 T. II. p. 5.

*) Idąc za Nestorem powiedzieliśmy, że Ołga poszła za Igora (6411) 911 roku. W 39 lat potem (950) urodził się Światosław, a więc Ołga musiałaby wtedy mieć lat przynajmniéj 53, chociaż przyjmiemy, że w 13 roku życia za mąż poszła. W trzy lata potem (953) pada Igor w bitwie pod Korosteniem, a Ołga, mając lat 56, obejmuje rządy państwa z 3 letnim synem. W roku 956 wyprawia się na Grecją, bawi do 963 roku, a więc 7 lat i wraca mając lat 66. Umiera wreszcie 977 r., w 80 roku życia. Wedle téj rachuby Nestora przyjęliśmy w naszem opowiadaniu, że gdy Ołga z Grecji wracała, miał już Światosław lat 13, i że ztąd niebawem ustały rządy i władza Ołgi, i jak mniemamy, dla tego tak źle przyjęto zaproszonych przez nią misjonarzy. — Atoli kronikarze niemieccy prawią nam, że posłowie Ołgi byli już 959 w Fraukfurcie u Ottona, a więc pod ten czas, gdy wedle Nestora, Ołga jeszcze była w Grecji i „stała w cieśninie.“ Łatwiéj byśmy sobie mogli dać radę z tą małą różnicą, gdyby nie to, że lata, podawane przez innych pisarzy, niezmierny tworzą zamęt, z którego jedynie przez to wybrnąć zdołamy, jeśli nam się uda przedewszystkiem oznaczyć rok bitwy Korosteńskiéj, bo tu właśnie główny błąd Nestora się kryje. — Kulczyński (Specimen Eccl. Kath. P. III. p. 109) opowiada wedle: „Stiepenija Knihi“, że Igor poległ 921 r., Ołga panowała lat 24, poczem 945 przyjęła chrzest, a umarła 970, albo 978. Chronologją tę ma Pateryk także, i zgadza się ona z Nestorową co do daty śmierci. Przyjmując tedy rok chrztu Ołgi za Kulczyńskim (i Pagiuszem) na r. 945, albo za greckim historykiem, Cedrenem, na rok 948 lub wreszcie za Kontynuatorem Reginona na rok 959, moglibyśmy pogodzić rok chrztu z poselstwem do Niemiec. — Atoli przyjmując rok bitwy Korosteńskiéj za Kulczyńskim na rok 921, nie moglibyśmy sobie

X.

Mówiliśmy, że niefortunnie spełzł na niczem daleko sięgający plan naszéj wielkodusznéj kniahini Olgi, zaprowadzenia chrześciaństwa na Rusi. Pozostała nam teraz jeszcze twarda konieczność dochodzenia tego, czy to, cośmy opowiadali o poselstwie Olgi do Ottona I., cesarza niemieckiego, jest rzeczywiście prawdą; a powtóre koniecznie tu zawadzić musimy o niemieckich pisarzów, mianowicie dwójga pod koniec wspomnianych: Pichlera i Gfrörera, aby dokładnie sądowi naszych czytelników przedłożyć powody, jakie mieć mogła Olga, do wysyłania poselstwa na niemieki dwór. — Schodząc tak — chociaż na krótką tylko chwilę — w labirynt zdań sprzecznych i kwestji zawiłych, pragniemy dla czytelników naszych, chociażby odrobiny cierpliwości, któréj przyrzekamy nie nadużywać wcale.

Nestor, kronikarz ruski, który nam dotąd głównie za przewodnika w opowiadaniu służył, ani słówkiem nie wspominał o tem Olgi poselstwie do Niemiec, uczony zaś historyk nasz, A. Bielowski[1]), niebardzo temu wierzy, żeby Olga była miała wysłać poselstwo do Ottona i domniemywa się, że kraj nazywany przez kronikarzy niemieckich: „Rugia“ — „Ruhia“ — „Ruscia“ — itp. nie jest jedno i to samo, co Ruś, kędy władyczyła nasza Olga, ale że to była Chrobacja Krakowska, kędy właśnie wtedy (r. 971 albo wedle Długosza 955) Prochoras pasterzował. Nadto szuka tych Rugów w ustronnéj krainie Wag nad rzekami: Wag, Grau lub Ipol.

Za dalekoby nas zaprowadziło obszerne przytaczanie,, uczonych zkądinąd wywodów Bielowskiego, a uczynił to zresztą zaraz po wyjściu rozgłośnéj jego pracy p. t. „Wstęp krytyczny do Dziejów Polski“ nasz Lelewel w swojem: „Ostatniem pojrzeniu.“[1]) — Nadmienimy więc tylko, że chociaż kronikarze niemieccy rozmaicie piszą nazwisko kraju i ludu w mowie będącego, to jednakże opisy ich zgadzają się w głównych szczegółach ze sobą, a mianowicie mówią o królowéj tegoż ludu — podczas gdy w onéj krainie Rugów, o któréj mówi Bielowski, szczątki tylko, przez Longobardów (488 r.) ujarzmionego ludu być mogły. „Bo gdy Morawy zajaśniały, powiada Lelewel, cichną o krainie Rugów wzmianki. Pamięć jednak Rugilanda mogła się przeciągnąć, a nie ma nic niepodobnego, że z ocalonego ludu tego coś pozostało.[2]) W każdym więc razie o królowéj u owych Rugów nie może być mowy, imie tylko Rugów i Rusów myliło się kronikarzom niemieckim, jak to i dzisiaj się nawet dzieje, że niemieccy pisarze nie mają stosownéj nazwy dla odróżnienia Rusi od Moskwy — o czem jeszcze mówić będziemy.

Drugi wysoce uczony historyk, J. Asseman[3]), bibliotekarz watykański, wnosząc ze sprzecznych u kronikarzy nazw Rugów i Rusów, a mianowicie z tego, że tylko jedyny dopełniacz Reginona imie królowéj wymienia, a drudzy Heleny nie nazywają po imieniu — przyjmuje dwa poselstwa do cesarza Ottona: jedno z wyspy Rugji, drugie z Rusi od naszéj Olgi, albo Heleny. Spowodowało go zaś do tego przypuszczenia to przedewszystkiem, że dopełniacz Reginowy nazwał chrzest Heleny „pozornym.“[4]) Przypuszczenie to wszelako nie może się utrzymać najprzód w obec pytania, czy na Rugji była naonczas królowa, a powtóre w obec tego, że kronikarze niemieccy, jak Lambert Szafnaburgski, rocznikarz Hildesheimski i Kosmas Pragski[5]) nazywają kraj, z którego przybyli posłowie: „Ruscia“ — a Dytmar Merseburgski[6]) wyraźnie „Russia“ go zowie.

Z tego wszystkiego, cośmy powiedzieli, wynosimy tę pewność, że chociaż Nestor nic nie wie o poselstwie Olgi, ono jednak rzeczywiście na dworze Ottona I. o misjonarzy prosiło i że ci misjonarze na Ruś się wybrali, ale że niewiele sprawiwszy, do domu wracać musieli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

dać rady z tem co opowiadają greccy pisarze o przymierzu zawartem pomiędzy Grekami a Igorem r. 941, a więc w 20 lat po dacie Kulczyńskiego. Wprawdzie uczony Asseman (Kalend. Eccl. Univ. T. IV. P. I. Cap. I. p. 18) zwraca na to uwagę, że ani El-Makim (Elmacinus): Histor. Saracen. L. III. p. 213.) ani też bizantyńscy pisarze jak: Kontynuator Theophana, Simeon Sagotheta, Jerzy Minch, Leon Gramatyk, Zonaras, Scylices, Cedren, ani też Nicefor (w Żywocie św. Ignacego Patr.) nie wspominają imienia księcia ruskiego, który to przymierze z Grekami zawierał, wszelako Luitbrand (Histor. l. 5. c. 6.) zowie go wyraźnie Ingerem, a Nestor na rok 953 kładąc to przymierze, szeroce je opisuje. Najpewniéj przeto bitwa Korosteńska była roku 943, bo Nestor o 10 lat się pomylił, Olga panowała po śmierci męża lat 12, a nie 24, jak ma Kulczyński i ochrzciła się 955 r. 8 września, jak podaje Lelewel. (Pols. W. Śr. T. IV. p. 518.) W zbliżenia do tego podaje także Strahl (Gesch. S. russ. K. I. 51) chrzest Olgi na r. 957. — Że zresztą Nestor myli się w chronologji, łatwo się przekonać z tego, że cesarz Konstantyn Porfyrogenita, który miał wedle niego panować wonczas, gdy się Olga chrzciła, już przeszło 10 lat nie żył. — Z tego więc wszystkiego wypadnie nam, że gdy Igor poległ, a Olga rządy objęła, miał Światosław nie 3 lata, ale już 13. Przyjmując ten wiek, zrozumiemy łatwiéj to, co powiada Nestor (p. 600) o tem, że Światosław rozpoczął bitwę z Drewlanami, rzuciwszę dzidę. — Kiedy zaś Olga po 12 latach z Grecji wracała, był już Światosław dorosłym mężem i ztąd sam już mógł berłem władać. Niedziw tedy, że usłużna przybocznych drużyna, starała się na wszelki sposób ukracać wpływy Olgi, i ztąd też tak niefortunnie zakończył się jéj pomysł sprowadzenia misjonarzy z dalekich Niemiec.

1) Bielowski: Wstęp krytyczny do dz. Pols. Lwów 1850 p. 544.

1) Lelewel: Polska Wiek. Średn. T. IV. p. 517 — 523.

2) Lelewel l. c. p. 520.

3) J. Assemani: Kalendaria Ecclesiae Universae Tom. IV. Cap. I. p. 20.

4) Lelewel l. c. p. 519. słusznie odnosi to „ficte“ do: „venientes — peteband,“ a nie do poprzedzającego: „baptisata est.“ Cały ten ustęp Cont. Regin. brzmi: „595 legati Helenae, reginae Rugorum, quae sub Romano imperatore Constantinopolitano, Constantinopoli baptisata est, ficte, ut post claruit — ad regem venientes, episcopum et presbyteros eidem genti ordinari petebant“ ed. Pertz. p. 624.

5) Annales Lamberti a. a. 960. Cosmas prag. a. a. 960. Annal. Hildesh. a. a. 959 (Script. rer. bohem. I. 45.)

6) Ditmar. ed. Pertz lib. 2. p. 20.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Doktór korzystając z jego milczenia, prawił daléj:

— U was, panowie, choroba zaczyna się dopiero wtenczas, jak już człowiek do łóżka położyć się musi, bo go nogi nosić nie chcą. Wtedy dalejże po doktora, żeby pędził na gwałt, czy w nocy od poduszki, czy w dzień od łyżki rosołu, wszystko wam jedno. Niechnoby nie przyleciał w te pędy, powiedzielibyście zaraz: a rozbójnik, rzeźnik, niegodziwiec!... A kiedy doktór spyta, czemu po niego nie przysłano wcześniéj, wszyscy patrzą na niego ze zadziwieniem i mówią: „Pocóż było przysyłać, kiedy pacjent chodził jeszcze i ani myślał chorować... teraz to jest niebezpieczeństwo... ratujże

konsyljarzu, jeśli w Boga wierzysz.“ Cóż ma robić biedny konsyljarz?... puka, maca, ogląda... niebardzo mu téj djagnozy potrzeba, bo z oczów pacjenta widzi, że go już śmierć trzyma za klapę od sercowéj komórki, i że jéj medykamentami odpłoszyć niepodobna, kiedy się ją aż tak daleko przez nieuwagę i niedbalstwo wpuściło. Zapisuje receptę, próbując środków ostatecznych, rozpaczliwych, zwołuje kolegów na naradę... robią razem, co mogą, chociaż widzą, że łatwiéj trafić terno na loterji liczbowéj, niż uratować pacjenta... Odwlekają śmierć na czas jakiś lub przynajmniéj czynią ją łagodniejszą... Nareszcie przychodzi katastrofa... puls bić przestaje... oczy stają kołem... kaput!... po wszystkiem!... Wtedy nuże na doktorów: „Zabili go Herody, zamordowali ojca, brata, męża, dobrodzieja, zostawili pół tuzina osieroconych, setkę nieutulonych w żalu, całe bolejące miasto, cały opłakujący powiat, cały wzdychający boleśnie kraj... nie poznali się na chorobie... zarznęli nieboraka... niechaj im Pan Bóg na sądzie ostatecznym zapłaci!“ Nieprawdaż, panie sąsiedzie, że tak to zwykle bywa, i tak pospolicie się gada?...

— W istocie, obrazek pański jest dość słuszny — przyznał Pilski — ale przecież...

Turski nie dał sobie przerywać, i pochwyciwszy ostatni wyraz ciągnął daléj:

— Ale przecież, gdyby któremu z doktorów przyszła warjacka myśl napastować zdrowych na pozór, ot, jak ja pana... gdyby taki doktór powiedział temu lub owemu: „Mospanie, wyglądasz czerstwo jak rydz, apetyt masz wyborny, śpisz tak tęgo, że piorun by cię nie obudził, nie kaszlesz, o katarze nie masz wyobrażenia, ale za to, jak ci ktoś cokolwiek bagatelnego nie po twéj myśli zrobi, to się zapalasz i wybuchasz gniewem straszliwym, aż ci oczy krwią zabiegają i żyły jak postronki występują na skronie... jestto choroba, z któréj się leczyć powinieneś, bo cię zabije;“ albo gdyby się zwrócił do drugiego i rzekł mu: „Mój jegomość, nie jesteś niby ani mizerny, ani cherlak, wołubyś nie udusił, ale cię przecież lada wiatr nie zdmuchnie, dajesz się powodować każdemu, wodzi cię za nos żona, służba ci kołki na głowie ciosa, współobywatele ubiegają cię, przyjaciele okłamują, interesanci zwodzą, a tyś z wszystkiego kontent jednakowo, to jest na wszystko obojętny... lecz się z tego, bo to choroba;“ — gdyby ten doktór w taki sposób zaczął przemawiać do tego i do owego, toby się obruszyli tak jak pan, krzyknęliby na Eskulapa, że wychodzi z granic swéj sztuki, że temperament, charakter, wrodzone usposobienie, naturę, bierze za chorobę... Nieprawdaż, panie sąsiedzie?...

Doktór Tucki zapalał się bardzo rzadko, i nigdy przed pacjentami nie wygłaszał tego rodzaju teorji. Podobne i tak daleko posunięte uznanie spójni między istotą moralną a materjalną człowieka, takie poszukiwanie przyczyn zboczeń duchowych w zboczeniach organizmu, gdyby je ogłosił otwarcie za swą doktrynę, nie zyskałoby mu bezwątpienia pacjentów. Okrzyczanoby go za materjalistę, za ateusza, za wyznawcę Darwina, za ucznia Vogta, a w Krakowie nawet lekarzom podobne bezbożności nie uchodzą. Strzegł się więc bardzo zdradzić poczciwy Eskulap Babiéj wyspy, bo się obawiał o swoją praktykę, a z nią o byt żony i dzieci, — przed Pilskim jednak wygadał się, czy to przez nieostrożność, czy też dlatego, że wiedząc, iż nowy sąsiad nie ma szerszych w mieście stosunków i zamieszkuje w niem od niedawna, zwierzenia tego nie uważał za niebezpieczne.

Pilski słuchał z uwagą, nawet ze zdumieniem tych wywodów, które przed jego umysłem nowe otwierały horyzonty. Dotąd uważał on chorobę tak, jak ją uważają pospolicie, za jakieś dopuszczenia opatrzności, będące karą za grzechy dla złych, krzyżykiem próby zsyłanym przez Stwórcę na dobrych, ale w każdym razie czemś, mającem tylko fizyczne znaczenie i tylko fizyczne skutki. Sądził, jak sądzą wszyscy, że człowiek dotknięty wszystkiemi cierpieniami Łazarza, zachować może całą świeżość i pogodę umysłu, że w każdéj nawet lepiance ciała mieszkać może król-duch potężny, ten sam w nędznem i niedogodnem, co w najwytworniejszem siedlisku. Teraz spostrzegał, że tak nie jest. Doktór wskazywał mu na związki dwóch światów tak ścisłe i bliskie, że podobnego zlania się, podobnéj zależności wzajemnéj, podobnego spojenia w jeden byt ducha i ciała ani mógł kiedykolwiek przypuszczać. Rozgadawszy się, zapuścił się nawet daléj w swoją teorją i dowodzić mu zaczął, że choroba nie jest bynajmniéj karzącem lub wystawiającem cnotę na próbę dopuszczeniem Niebios, lecz czysto ludzkim wyrobem, ujemnym skutkiem danéj cywilizacji, danego społecznego stanu i danych okoliczności osobistych, w jakich się pacjent znajduje. A dowodził ze siłą, z przekonaniem, sypał argumenta niezbite, i choć słów swoich nie układał w akademickie okresy, umiał przecież zwalczać zarzuty, zaledwie się w myśli słuchacza zrodziły i nim jeszcze w słowie wypowiedzieć się mogły.

Czy to, co mówił doktór, było prawdą, czy też były to tylko paradoksa człowieka zarażonego materjalizmem wieku, herezje, na które dziewięć dziesiątych części Krakowa zatkałoby sobie uszy, Pilski nie mógł osądzić, teorji téj jednak, jak wszystkiego, co myśl niezdrewniałą jeszcze w nałogowem drzymaniu do nowéj czynności budzi, wysłuchał z upodobaniem i zajęciem. Zaczął patrzeć na doktora, jak na innego zupełnie człowieka, zaczął mu ufać, a przynajmniéj przychodziła mu ochota pozwolić Eskulapowi, żeby na nim samym spróbował praktyczności swoich teorji, i żeby go tym sposobem niezbicie o ich praktyczności przekonał.

— Przyznam się panu, — rzekł, — żeś mnie dobrze wyanskultował... z piegów na twarzy i opukania prawego boku wniosłeś trafnie, jakim jestem... w istocie... Sam sobie z tego dotąd nie zdawałem sprawy, ale zastanawiając się nad mojem życiem przeszłem, widzę dobrze, że mogłem być cierpki, przykry, nieznośny dla tych, z którymi byłem bliżéj, z którymi żyłem. Nazywasz to pan chorobą... zgoda, niech i tak będzie. Powiedz mi jednak, czy wasza medycyna tylko poznać taką chorobę, czy téż i wyleczyć ją umie?...

— Nasza medycyna jest jeszcze w kolebce, odpowiedział Tucki, — o tem, co ci tu powiedziałem, wiemy mniéj więcéj wszyscy, mało kto jednak pracował nad zastosowaniem tego w praktyce...

— Rozumiem, — przerwał Pilski, rozumiem, tłomacząc to na język wszystkim zrozumiały, wiecie tylko tyle, że wady charakteru są niekiedy prostym skutkiem wad organizmu, ale nie udało wam się nigdy przez naprawienie organizmu, przez usunięcie tego złego, które w nim tkwi, przez pozbycie się przyczyny, pozbyć się jéj następstw i wadę charakteru naprawić. Wychodzi to na jedno, jakbyście nic nie wiedzieli.

— Przepraszam, — odparł lekarz, — bywały i są częste przykłady wyleczenia tych tak nazwanych chorób moralnych, i wiedza nasza pod tym względem wyżéj stoi, niż pan sądzisz. Ja mówiłem tylko, że praktyka w tych rodzajach chorób nie jest szeroko rozwiniętą, że w ogóle rzadko wzywani jesteśmy do leczenia tego rodzaju cierpień, że ogół nie przyznaje nam prawa leczenia popędliwości, kaprysów, rozpusty, ociężałego lenistwa, gorączkowego zapału do zabijającéj pracy, zazdrości, słowem tysiącznych a najrozmaitszych wad ludzkich, że nas wzywają tylko do takowego rodzaju chorób, jak melancholja, obłąkanie, i inne umysłowe zwichnięcia. Dla tego nie mając doświadczenia, niewiele nieraz zrobić możemy...

— Powiedzże mi pan, co myślisz o mnie specjalnie, — zapytał Pilski, — czy mogę być uleczonym z téj wady charakteru, którą we mnie odkryłeś?...

— Pańska przypadłość jest tego rodzaju, że bywały już przykłady jéj uleczenia...

— A!... za pomocą kazań, nauk moralnych, pobożnych ćwiczeń, postów i modlitwy zapewne?...

— Bynajmniéj panie... to stara i zupełnie bezskuteczna szkoła... Za pomocą mikstur, proszków, pigułek, okładań i wcierań... to jest środków zewnętrznych i wewnętrznych, sprzedawanych na uncje, drachmy skrupuły w aptekach.

— Wiesz doktorze, że jeśli to nie żarty... to to jest doprawdy ciekawe.

— Tak ciekawe, że gdym pana po raz pierwszy w życiu zobaczył... nie znając cię i nie wiedząc, kto jesteś... powiedziałem sobie, że byłbym najszczęśliwszy, gdybym mógł spróbować na panu téj kuracji.

— A czy te proszki i mikstury nie wpędzą mnie w inną chorobę?...

— Będą to środki zupełnie niewinne, jak się pan przekonasz z recept... najzdrowszy człowiek bezkarnie używać może każdego lekarstwa, które panu przepiszę.

— Cha! jeśli tak, to zgoda... lecz mnie, doktorze, a jeśli ci się uda, to ci będę wdzięcznym bez granic.

Oczy doktora zajaśniały żywą radością. Uściskał, ucałował swego pacjenta, zapowiedział mu, że kuracja nazajutrz się rozpocznie, i pożegnał go nareszcie, spiesząc na podwieczorek, o którym zagadany zapomniał. Na odchodnem prosił sąsiada o odwiedzanie go, co Pilski z ochotą przyrzekł.

Gdy doktór wszedł do domu, małżonka jego, pani Helena z Papaciwskich, przywitała go wyrzutami.

— Ależeś siedział, siedział... myślałam, że już i na wieczór nie przyjdziesz.

— Zagadaliśmy się cokolwiek, duszko...

— Zawsze się zagadasz, a tymczasem kawa wystygła, — dąsała się małżonka, — i cóż, dobrze cię przyjął?...

— Spodziewam się... jak najlepiéj...

— I będzie u nas?...

— Naturalnie, będzie.

— Kiedyż?...

— Powiedział, że wkrótce.

— Nie mogłeś się o stanowczą datę wypytać!... — zgromiła znowu pani doktorowa, — wiesz przecież, że ja, mając tyle dzieci i takie gospodarstwo na głowie, nie mogę zawsze być gotową na przyjęcie gości i wolę wiedzieć, kiedy ma kto przyjść.

— Pytałem się, duszko, ale odpowiedział, że nie wie jeszcze.

— Ech! ciebie zawsze każdy byle czem zbędzie, — zakonkludowała rozdąsana pani Helena.

Gdyby był Pilski słyszał tę maleńką scenę małżeńską byłby sobie porobił zapewne wcale niepochlebne dla doktora uwagi. Przedewszystkiem musiałby sądzić, że doktór dlatego tylko zaznajomił się z nim, dlatego tylko zrobił djagnozę jego piegów i dlatego tylko wymyślił teorję dowodzącą, że choroba nie jest karą boską, lecz prostym skutkiem ludzkiéj nierozwagi i głupstwa, ażeby go sprowadzić do swego domu i w ten sposób uczynić zadość życzeniu swojéj małżonki. Z drugiéj strony Pilski, gdyby był mógł podsłuchać powyższą rozmowę, powiedziałby sobie niezawodnie, że cała teorja doktora, cała obietnica wyleczenia go z wady charakteru, była poprostu blagą na wielką skalę, gdyż poczciwy Eskulap miał w swoim domu małżonkę, która także była przykrą, cierpką, opryskliwą dla niego, i podobnież mieć musiała jakieś szczególne przypadłości w prawym boku, oraz drobne, nieszpecące, lecz zawsze godne obejrzenia przez lupę piegi, która zatem cierpiała na tęż samą chorobę, a przecież sztuką małżonka-lekarza dotychczas uleczoną nie została.

Pilski mógłby tak myśleć, gdyż nie przypomniałby sobie zapewne na razie, że doktorzy w ogóle nie mają zwyczaju leczyć swych rodzin, i nie zwróciłby uwagi na to, że pani Tucka mogła nie być dla swego męża tak powolną pacjentką, jakim on się być deklarował pacjentem...

Tych wszystkich uwag jednak nasz bohatyr sobie nie robił, bo od mieszkania państwa Tuckich oddzielała go ściana dosyć gruba, tak że przez nią najmniejsze echo małżeńskiéj rozmowy do jego pokoiku dojść nie mogło.

Za to reasumował swoje położenie i streścił je w myśli w takich wyrazach:

Szczególnato kraina, ta Babia wyspa... człowiek ledwie kilka dni jak się sprowadził, a już został nie wiedzieć jak i zkąd: kochankiem jakiéjś Izabelli, bodaj czy nie królowéj, archeologiem, o którym Towarzystwo Naukowe rozprawia, a wreszcie chorym śmiertelnie na charakter. Co to będzie, jak tu jeszcze przez kilka tygodni pomieszkam?!...

Tymczasem odwiedziny doktora u Pilskiego nie przeszły niespostrzeżone na Babiéj wyspie.

Kto pierwszy je spostrzegł i rozniósł o nich wiadomość, nie możemy w téj chwili powiedzieć. Roztargnione dzieje nie zapisały jego nazwiska i niewiadomo dzisiaj, czy to była Kazia, czy ciocia Petronela, czy pani Gacińska, czy która z panien Rękalskich. Zdaje się, że jeżeli nie wszystkie, to przynajmniéj kilka z tych osób rościć mogło prawo do tego spostrzeżenia i spierać się z sobą w obliczu dziejów, jak niegdyś siedm miast o Homera.

Faktem jest, że wiadomość się rozniosła, i że ledwie za doktorem Tuckim, wchodzącym do Pilskiego drzwi się zamknęły, już o tem wszyscy na Babiéj wyspie wiedzieli, a nawet wiedzieli więcéj jeszcze, bo i to, o czem się czytelnicy dopiéro po powrocie konsyljarza do domu, z rozmowy jego ze żoną dowiedzić mogli.

— Wiesz, Iziu, — mówiła panna Teodora, — doktór poszedł do pana Pilskiego z wizytą.

— A co?... nie mówiłam?... Tucka go chce przyciągnąć do siebie, — odrzekła gniewnie panna Iza, — oczywiście chce go przyciągnąć...

— Naturalnie, — potwierdziła panna Eleonora, — naturalnie... po cóżby inaczéj posyłała do niego męża?...

— Radaby ci go odbić, — zauważała panna Teodora.

— To szkaradne... mężatka! — zgorszyła się panna Iza, — ładnie dom prowadzicie... I czy was nie wstyd doprawdy, żeby w naszym domu mieszkały takie kobiety?....

— Ależ, moja Iziu... gdzie lepszych szukać?...

Uwaga ta, wypowiedziana z całą naiwnością przez pannę Teodorę, nie uspokoiła panny Izy; dąsała się ona daléj na obie siostry, a dąsała się tak, że gdyby to słyszał doktór Tucki, gotówby poprosić, żeby mu pozwoliła przyjrzeć się przez lupę, czy nie ma na twarzyczce jakich drobnych, nieszpecących, ale charakterystycznych piegów, i opukać....

Ale nie... na dalszą część djagnozy wzdrygnęłaby się z oburzeniem panna Iza...

Bądź co bądź na Babiéj wyspie było więcéj egzemplarzy w rodzaju Pilskiego, a jeżeli tak bardzo nie zwracały na siebie uwagi doktora, było to może skutkiem tego, że ich choroba na charakter nie należała do dających się uleczyć.

Wizyta małżonka pięknéj Heleny u nowego lokatora, dodała zatem nowego żywiołu do niepokojów żeńskiego Benjamina rodu Rękalskich. (D. c. n.)

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiem w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Po śmierci cara Mikołaja rozpuszczono wieść po Warszawie, że na poniedziałkowe wieczory będzie potrzeba przychodzić w żałobie. Była to czysta baśń znowu! Osoby należące do dworu — i u dworu bywające, mają ten obowiązek. A zresztą, zależało to od dobréj woli poddańczéj. — Bywały wszelako i osoby, które przez próżność ubierały się żałobnie — jak gdyby je niby-to ich wysoka pozycja do tego zmuszała. A zwracały tem jedynie uwagę śmieszności, ile, że warszawska publiczność łatwo każdą zdrożność spostrzega i notuje.

Byłam w żałobie po matce mojéj. Idąc w tym czasie przez Krakowskie Przedmieście i rozmawiając z towarzyszką moją, posłyszałam za sobą wyrazy:

— Polka i w żałobie!

— W żałobie, ale po matce! — odrzekłam, obracając się nagle.

— Przepraszam!... Przepraszam! — odpowiedziano. Nieznajoma pani ścisnęła mi rękę — i rozśmiałyśmy się obiedwie.

Jedna z Polek — żona dygnitarza — pani Płatonow, z domu Nowakowska, córka szambelana króla Stanisława Augusta, szczerego patryoty — winna była wizytę jenerałowéj rosyjskiéj, Rydygier, i zobowiązku ubrała się czarno, jak kruk, z przynależnym przyborem krepy. Przyjęta — wchodzi — i zastaje jenerałową bielutką, jak gołąbkę. Pomięszana, aż się cofnęła — własnym nie dowierzając oczom. Jenerałowa spostrzega to zdziwienie — i uderzającą różnicę swojego ubrania i wizytującéj ją pani. Więc téż tłomaczy jéj zaraz: była to rocznica dnia wielkiego, w którym sprzymierzeni ongi do Paryża weszli — cała zatém Rosja obchodzi to święto, i w dniu tym, jako dniu wesela, zarządzono zdjęcie żałoby. — Polka — lubo żona Rosjanina — nie wiedziała o tem.

W najpierwszy poniedziałek po onéj wielkiéj katastrofie, zebrali się wszyscy u pp. Łuszczewskich, jak zwykle. Panie w kolorach. Ale zaprawdę, że wszystko pod jakiemś dziwnem zostawało wrażeniem — dumającem, że się tak wyrażę. Zdawało się, że można było odetchnąć wolniéj — a jednakże coś ciężyło — trwożyło.

Usiadł przy mnie pan Ignacy Badeni — znajomy z dawniejszych czasów i nieraz gość w naszym domu.

— Jakiż nagły, niespodziany wypadek — zagadał — ta śmierć!...

— Kolos runął!... wymówiłam — tak, jak inni śmiertelnicy!

— Kolos runął! I w tém runięciu przygniótł niejedno, czego dziś jeszcze i odgadnąć niepodobna.

— I wojna na wschodzie teraz skończy się rychło — poszepnął za krzesłem mojem stojący Julian Bartoszewicz — i nadzieje nasze, które już... już promieniem błogim wytrysnąć miały, by z morza Czarnego jasnem dla nas wzejść słońcem.

— Kolos runął! — powtórzyła jeszcze obok siedząca księżna * — a smutna pozostała wdowa! Zawsze to ostateczne sieroctwo, chociaż i w koronie cesarskiéj.

— Wdowa! — ciężkie stłumiłam westchnienie — własnem wywołane sieroctwem:

„Bo jak we łzach się zlewa żal wszelkich żałości,
Tak w tem słowie leżała bolesna wymowa.“

Właśnie H. Rzewuski usiadł opodal i począł opowiadać:

— Był w Petersburgu wysoki dygnitarz, a miał ubogiego kuzyna, którego było potrzeba forytować w świecie. I otóż dnia jednego przełożył cesarzowi pokorną prośbę, ażeby najłaskawiéj temuż kuzynowi rozkazał wydać nominacją na dyrektora lasów rządowych, położonych w gubernji... nie pomnę w któréj, lecz dalekiéj, dalekiéj od Petersburga. Złożył obok dowody wysokich zdolności kuzyna, nauki, charakteru, i czego tylko było potrzeba. Prośba upragniony otrzymała skutek — i kuzyn ów, uznanych zdolności i zasług, otrzymawszy nominacją, z pensją pięciu tysięcy rubli rocznie, pożegnał protektorów swoich i przyjaciół wielkim, wystawnym objadem. — Upłynęło lat kilka, a może i kilkanaście, inny, również wysoki dygnitarz także znowu miał kuzyna, potrzebującego donośnéj posady. Myślał więc nad tém, myślał, aż przypomniał sobie owego dyrektora lasów rządowych w gubernii... nie pamiętam! Dygnitarz wszelako spamiętał dobrze, i wzięła go chętka wysadzenia tamtego, a umieszczenia nowego, w osobie swojego kuzyna. Przeto ukutą została denuncjacja wielka, we wszelkie opatrzona formalności: że obecny dyrektor dopuścił się srogich nadużyć, defraudacji przewielkich; że przez niedbalstwo i niedozór z góry, a niesumienność zaprzedanych dyrektorowi podwładnych, lasy popadły w stan strasznego zniszczenia i t. p. Wyznaczoną więc została komisja do sprawdzenia na miejscu wszystkiego. Tego ów drugi dygnitarz nie przewidział dostatecznie, że śledztwo miało się odbyć na miejscu — i nagle ztąd a wielkie zamięszanie powstało. Bo wypłynęło na jaw, że takie lasy rządowe * * w gubernii onéj nie istniały wcale; że ów urząd dyrektora był tylko udanym; i że ów dyrektor mianowany łaską cesarską — pobierający pięć tysięcy rubli rocznéj pensji, nawet i z Petersburga nie wyjechał wcale! — Nie chcąc zatem przejechać się na Sybir, dygnitarz-oszust wraz ze swoim kuzynem dyrektorem, i dygnitarz fałszywy denuncjant, — podali sobie pojednawczo dłonie, i sprawa cała szczęśliwie zatartą została, dopóki nowy nie wystąpi denuncjant, który obudwóch oskarży.

Opowiadanie zabawiło. Czyniono różne uwagi. Pan Henryk powstał, przeszedł przez salon — i usiadł na uboczu, gdzie począł opowiadać dykteryjki, nie dla wszystkich uszów właściwe.

Po chwili rozmowy umilkły — bo dała się słyszeć panna Zofija Malhomme — a grała cudowne kompozycje Szopena.

Gdy umilkł fortepjan, gwarne rozmowy znowu zapełniły salon. Po chwili wniesiono cygara. Panie, nie znoszące ich dymu, wyszły, lecz pozostało zawsze jeszcze kilkanaście. A pomiędzy temi i wojewodzina Wodzyńska, siostra gospodarza domu, jedna z najprzyjemniejszych i najzacniejszych Polek — serdecznie swoją kochająca rodzinę.

Na drugim końcu salonu spostrzegłam pannę Śmigielską — dzisiejszą panią Dobieszewską. Więc powstałam, ażeby pójść do niéj — gdy mi zaszedł drogę p. Józef Ćwierczakiewicz i uśmiechając się, zagadał:

— Rzewuski jest dziś w humorze szczególniéj dowcipnym, wcale nieżałobnym — czyli też może żałobnym po swojemu. Mówił tam właśnie o kobietach: skreślił charakterystykę Moskiewek, Niemek, Francuzek, Hiszpanek, czego jednakże niepodobna powtórzyć. O Polkach wyrzekł, że się najczęściéj kompromitują gratis.

Daléj opowiadał dowcip Rzewuskiego, czyli igraszkę słów, satyryczną a gorzką co do nazwiska jednego z Polaków, który względem własnéj zgrzeszył narodowości.

Stojący opodal pan Leon Łubieński posłyszał nazwisko, i dorzucił półgłośno:

— Tak, niestety! Są ludzie, którzy słyszą jak trawa rośnie, a pan ten nie dosłyszy nawet, jak tuż obok rosną konopie.

— Autor Mięszanin Bejły karcić poczyna! dodał jeszcze Ćwierczakiewicz.

Usiadłam przy Józ. Śmigielskiéj i Julji Janiszewskiéj.

A po chwili zbliżył się p. L. Łubieński i poszepnął mi:

— Rzewuski powiedział tam właśnie: że gdy on włoży kontusz, czerwone buty i białą konfederatkę, to wtedy Polska będzie wolną. I wierzymy wszyscy w tę przepowiednią.

Nie wiem, czyli to istotnie powiedział Henryk Rzewuski, czyli téż zażartował pan Leon. Gadka ta upowszechniła się jednakże i spamiętano ją.

W r. 1863cim byłam w Salzbrunnie. Przybył tam właśnie pan P. M. z Drezna — i opowiadał:

— Widziałem Henryka Rzewuskiego w polskim stroju. Więc powinna sprawdzić się przepowiednia, że Polska obecnie wolność odzyska.

W końcu maja pożegnałam Warszawę. Deotyma napisała mi w książce pamiątek moich:

Wpływ kobiety roznieca w życiu towarzyskiem
Przewodnie gwiazdy uczuć i sztuk pięknych zorze,
Kobieta więc najsilniéj czuć i kreślić może
Powieść — co jest uczucia i sztuki ogniskiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA TYGODNIOWA.

Koncert p. Stysińskiego pod względem moralnym udał się zupełnie — natomiast pod względem materjalnym poniósł fiasco. Znanéj kompozycji Dembińskiego: „Litwa“ wykonanéj z wielką precyzją, towarzyszyły huczne oklaski nielicznie zebranéj publiczności.

Panna Czajkowska śpiewała piosnkę Moniuszki czysto i z uczuciem, a duet z p. Stysińskim dosyć powabnie. Pan Hertz grą swoją a p. Rychter deklamacją uświetnili wieczór. Pan Stysiński w arji z „Lukrecji Borgji“ słusznie zasłużył na oklaski, których mu nie szczędzono. „Sen wygnańca“ wykonany przez pp. Dembińskich, gdyby nie był tak grzeszył monotonnością, więcéjby nam się podobał.

Jeden ze słuchaczów, p. G., obywatel z Królestwa Polskiego, prawdziwy znawca i amator muzyki, nie mógł się dosyć nachwalić tak dobranego programu koncertu, jako też i wykonania tegoż. a zapewniał mnie, że u nich koncert tego rodzaju byłby daleko liczniejszą ściągnął publiczność, o czem i my nie wątpimy.

Późno w nocy zadowolona publiczność opuściła salę Bazaru.

* * *

W dniu 19 b. m. grono przyjaciół i wielbicieli talentu p. Józefa Rychtera, znakomitego artysty sceny warszawskiéj, doręczyło temuż prześliczne album z fotografjami i puchar srebrny, bogato rzeźbiony. Na uczcie danéj w dniu tym dla p. Rychtera, podniesiono obok innych kwestji dotyczących teatru, również kwestję konkursu dramatycznego. Konkurs ten ma się odbyć sposobem składkowym — w którym i nasza redakcja ofiaruje swoje pośrednictwo.

* * *

P. Władysław Bełza, jeden z kolektorów budowy teatru narodowego, wrócił już z obfitym plonem z objazdu swego po prowincji. Jak się z nadesłanego nam sprawozdania przekonywamy, umieścił p. Bełza 218 akcji, reprezentujących kapitał 10,900 tal. Czekamy z niecierpliwością na powrót innych kolektorów.

* * *

W ostatni poniedziałek, dn. 20 b. m. mówił w lokalu Towarzystwa Przemysłowego p. Laskowski: „O poezji klasycznéj i romantycznéj w Polsce.“ — Jestto powszechnie u nas przyjętym zwyczajem, że prelekcji miewanych bezinteresownie, pro bono publico, ganić żadną miarą niewolno. Zwyczaju tego, jak wielu innych, bardzo już często nadużywano. Ileż to patentów na znakomitość nie nawydawał nasz poczciwy Dziennik owym szanownym prelegentom, których najmniéj połowa oczadzona komplementami, ukołysana kilkudniowemi tryumfy, spokojnie zasypia na tanim kosztem zdobytych laurach. Pocóż im z innemi pracami występować na widownią publiczną, gdy próba taka mogłaby zepchnąć okrzyczaną wielkość z trójnoga chwały? Jeszcze to w mieście samem wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, a jaki taki nauczony doświadczeniem, nie we wszystko wierzy, co wydrukowane — lecz za to w oczach większości prowincjonalnych czytelników — uwieńczeni bukietem panegiryków laureaci — do prawdziwéj urastają potęgi...

Ale rozbiór téj kwestji za dalekoby nas doprowadził. Nie mogąc jéj tu dla braku miejsca wyczerpnąć, poddajemy ją pod zdrowy sąd ogółu — sami zaś zwracamy uwagę szanownych referentów na to, że jeśli wedle pewnéj stałéj formułki chwalą wszystkie odczyty, to wyrządzają tem prawdziwą ujmę wyborowym prelekcjom, stawianym w jednym rzędzie z lichemi elukubracjami.

Ustęp powyższy nie odnosi się bynajmniéj do odczytu p. Laskowskiego, który śmiało do lepszych zaliczyć można. Szanowny prelegent mimo że przeskakiwał co chwila z przedmiotu na przedmiot, i zbywając go kilkoma słowy, tłomaczył się szczupłością czasu, mimo że nie wnikając w głąb rzeczy, wojował utartemi frazesami, i że zbyt często zdradzał reminiscencje z Brodzińskiego, Mochnackiego i t. d., — opracował jednak całość udatnie i zręcznie, i zainteresował mocno słuchającą publiczność. Niepodobna z pamięci czynić szczegółowych zarzutów; powiemy tylko, że mylnem jest zdanie p. L., jakoby wszystkie postacie, stworzone przez Karpińskiego, były narodowe — swojskie... Karpiński prócz kilku wierszy mających koloryt polski, nie napisał nic większego na tle rodzimem — a wszystkie jego postacie noszą nie-polską barwę. Wykazał to ze skalpelem krytyki w ręku nieodżałowanéj pamięci Juljan Bartoszewicz — sercem zaś mazowiecki nasz lirnik, Teofil Lenartowicz, kładąc w usta Polki następną zwrotkę:

Panie Karpiński, daruj mi, proszę,
Moją swobodę niegrzeczną —
Jam nie Doryda, malin nie noszę,
Jam tylko Polką serdeczną.

* * *

Od p. Hofmanna z Krakowa odbieramy w odpowiedzi na umieszczoną w 8 numerze Tygodnika, a więc przed 5ma tygodniami odezwę p. Dobrzańskiego, list następujący:

Szanowny Redaktorze!

W numerze 8 Twego pisma z przykrością wyczytałem protest p. St. Dobrzańskiego, dotyczący operetki „Żaki.“ Jako kompozytor, a więc najlepiéj obznajmiony z tokiem sprawy, winienem dać publiczne wyjaśnienie.

Przedewszystkiem składam przy téj sposobności podziękowanie p. Dobrzańskiemu za jego gotowość, z jaką ofiarował się napisać mi libretto. W ciągu pracy zaskoczyły p. Dobrzańskiego wypadki i zmartwienia, wreście wyjazd z Krakowa. Chęć tylko nie zrobienia mi zawodu, spowodowała go do dalszéj pracy — dawał mi więc w przerwach luźne kartki, ołówkiem kreślone. Opano-

wany gorączkową chęcią jak najprędszego komponowania, pisałem muzykę w miarę otrzymanych od p. Dobrzańskiego kartek. Tym sposobem powstało 6 numerów muzycznych. Cała zaś operetka miała być w 1nym akcie i obejmować 7 numerów. Początek 7go numeru dał mi p. Dobrzański, lecz całkowitego zakończenia nie otrzymałem, z powodu nagłego wyjazdu autora z Krakowa. Przy wyjeździe p. Dobrzański czując zapewne sam, iż obrobienie libretta nie wypadło odpowiednio do jego życzeń — odstąpił mi je bez pretensji na zupełną własność. — Operetka: Żaki, była pierwszą moją większą kompozycją, z którą wystąpić miałem publicznie. Libretto Żaków pierwszą na tem polu pracą p. Dobrzańskiego. Połączenie takie wydawało mi się na pierwszy raz zbyt ryzykownem. To skłoniło mię do głębszego zastanowienia się zarówno nad muzyką jak i treścią, oraz do zasiągnienia zdania znawców. Bliższy rozbiór obójga, zdaniem znawców okazał, iż libretto w pospiechu naszkicowane, samo w sobie nie miało scenicznego układu, rozwinięcia i logicznego następstwa intrygi dramatycznéj, i sytuacji odpowiednich operze; nadto wiersz części śpiewnéj grzeszył brakiem rytmiczności, zdradzał niedoświadczenie pod względem zasad muzycznych i podkładu. Okazała się tu potrzeba fachowego a doświadczonego librecisty, któryby idąc w pomoc pierwszéj mojéj próbie na polu kompozycji dramatycznéj, łączył w sobie wszystkie potrzebne warunki. Nie wiedziałem nikogo odpowiedniejszego, nad p. Anczyca, który dostarczył parę wybornych librett p. Grossmanowi w Warszawie i kilka operetek bardzo stosownie przetłomaczył. Nie mogłem wymagać, aby to uczynił z zaparciem się siebie samego. Pan Anczyc żądał upoważnienia od p. Dobrzańskiego i tylko na uroczyste zapewnienie, iż otrzymałem libretto od niego na zupełną własność, skłonił się do przerobienia trzech pierwszych numerów: dalsze jednak numera śpiewne jak i układ operetki, wymagał z wyżéj przytoczonych powodów, zupełnego przeistoczenia i rozwinięcia. Uwagi te uznałem za stosowne, pomimo że 3 następne a największe numera stały się bezużytecznemi, i zarówno te jako i 8 nowych, trzeba było na nowo komponować.

Na mój list pisany do p. Dobrzańskiego z zapytaniem, w jakiby sposób ułożyć tę całą sprawę, nie uchybiając żadnéj stronie — p. Dobrzański nie odpowiedział wcale.

Pozostało więc tylko samemu rzecz rozstrzygnąć.

Praca p. Anczyca była nierównie obszerniejszą. Operetka obejmowała teraz 2 akty i czternaście numerów śpiewnych. Z pracy zaś p. Dobrzańskiego pozostał tylko ogólny zarys. Miało więc być na afiszu początkowo: „Myśl p. Dobrzańskiego“, lecz to wydawało się p. Anczycowi za mało, uradziliśmy więc wspólnie: „Pierwotny szkic St. Dobrzańskiego.“

Po tem wyjaśnieniu przyznasz, Szanowny Redaktorze, iż p. Dobrzański w sposób niedelikatny i niewłaściwy ubliżył p. Anczycowi. Uczucie prawdy i honoru zmusza mnie do wystąpienia w obronie tego, który pracą swoją przyczynił się do powodzenia operetki. Pojęcie zaś słuszności, które p. Dobrzański niewątpliwie posiada, nie dozwoliłoby mu przywłaszczać sobie pracy p. Anczyca, jak również nie dozwoliło temu przywłaszczyć sobie szkicu p. Dobrzańskiego.

Dnia 16. 3. 1871. **Kazim. Hofmann.**

Jeszcze słówko o sympatji Niemców dla Polaków.

„Uderz w stół, a nożyce się odezwą.“

Jakąś mam słabość do szafowania przysłowiami. Zdaje mi się, że w nich więcéj prawdy, niżeli w transcendentalnéj filozofji nawet, któréj głównych podstaw, spoczywających na niewidzialnem niczem, na moje szczęście zapomniałem.

Jak studjum moje nad sympatją Niemców dla nas zacząłem przysłowiami, tak i obecne słówko o tym przedmiocie znów zagaiłem przysłowiem, z czego w obec czytającéj publiczności trzeba mi się wytłomaczyć.

Artykuł mój o sympatji — nie wiem jak się czytelnikom polskim podobał, bo nikt się o nim publicznie nie odezwał. Choć to mógłem przyjąć za: qui tacet, consentire videtur, to jednak już chciałem się trochę dąsać, — bo niemiło tak zupełnie być ignorowanym, — kiedy ni ztąd ni z owąd dostaję Ostdeutsche Zeitung i — w jéj feletonie... mój, czy niby mój artykuł, przełożony wedle słownika na język niemiecki i tak dalece dosłownie przetłomaczony — — że się wypieram, abym był jego autorem, na co przytaczam jako dowód poprawkę wiersza, najnowszéj piosenki naszych kochanych sąsiadów, gdzie ja mówię: „Lieb Vaterland musst ruhig sein“ — a tłomacz uważając to za błąd drukarski, poprawia „magst“ ruhig sein.

Ale mniejsza z tem; żyłka autorskiéj ambicji była tem słabem tłomaczeniem przyjemnie pogłaskana, i już chciałem po polsku, po tryumfie takim odpocząć na laurach, kiedy „ein deutscher Bewohner der Provinz Posen“ znów się w Ostdeutsche Zeitung odzywa, i memu dziecku, memu ukochanemu, tłomaczonemu nawet na niemiecki język artykułowi — — łatkę przypina i tak wilka wywołuje z lasu.

Mógłbym był milczeć na próbkę stylistyki szanownego antagonisty, któremu się widocznie nie podoba zastosowanie niemieckiéj bajeczki o jeżu i krecie do stosunków międzynarodowych w prowincji naszéj, choć ja stosowałem ją do przeszłości, acz niedawno minionéj, bo teraz — kret już uciekł przecież ze swéj dawnéj nory, by wykopać nową, a może świeżego jeża wpuszczać.

Lecz rozgniewałbym może tem milczeniem kochanego deutschen Bewohner der Provinz Posen, czego wcale nie chcę, bo wystawcie sobie, mili czytelnicy, on nam znów grozi... sympatją, która w przyszłości między obu narodowościami znów ma zakwitnąć,— ach! co za piękne jabłuszka na wierzbie!

Bogowie, zlitujcie się, dajcież memu przeciwnikowi trochę znajomości francuzkiego języka, aby zrozumiał, co to jest pitié! A wszakże wyraźnie powiedziałem w mojem studjum, że nawet Polska, utworzona przez sympatją „me ferait pitié“, a cóż dopiero samo to, tak miłe dla głupców uczucie.

Lecz przepraszam najmocniéj szanowną publiczność, oraz mego kochanego przeciwnika, że od samego końca znakomitéj rozprawy zaczynam, kiedy podług wszelkich zasad logiki zdaje się nakazanem, zacząć od początku. Trzeba więc poddać się téj konieczności.

Zaczynam od początku.

Przyszło razu jednego jagnię nad strumyk, by ugasić pragnienie. Do tego samego strumyka, powiadają, przyszedł i wilk, który stał wyżéj, tak, że woda od niego płynęła do jagnięcia, a jednak — — jagnię mąciło wilkowi wodę, zatem on wilk w krzyk, — „zur Abwehr!“

Taki bowiem jest tytuł wypracowania mego arcyszanownego przeciwnika, który, gdyby był czytał w oryginale moje studjum, byłby się mógł domacać, że ono jest maleńkim atakiem na moich bezpiecznych zawsze rodaków, którym tylko zalecam — pracę, we wszystkich kierunkach społecznego życia, pracę organiczną (a nie organizacyjną, jak tłomacz powiedział), by wyrównywać

innym narodom zachodniéj Europy. Zastosowanie zaś wierszyka Berwińskiego do moich rodaków, i do siebie rozumie się, zapewne mogło jasno pokazać, że o wszelkich innych narodowościach pod względem postępu nie tak bardzo się troszczę. Płaczę mojéj, a nie cudzéj matki!

Ażeby skutecznie obronić siebie i narodowość niemiecką w Poznańskiem, podnosi autor na prędce ogromną barykadę z okropnych zarzutów, z okropnych zbrodni, popełnionych na niewinnych Niemcach w Poznańskiem przez nas w roku 1848. Na prędce jednak rzuca tylko następujące:

1. Zrzucono znaki godła rządu z publicznych gmachów i zniesiono działalność władz;
2. do uzbrojeń Polaków ściągnięto z Niemców kontrybucje, jakoby w czasie wojennego stanu;
3. kto nie zatknął polskiéj kokardy, wystawiony był na najniebezpieczniejsze (?!) groźby i gwałty;
4. obywatele wydalili wszystkich niemieckich urzędników, a ci tylko nie ulegli temu losowi, którzy przyjęli katolicką religją i nazwisko swoje spolszczyli;
5. Niemcom zaproponowane braterstwo przez nas tak się rozumiało, że Niemcy ślepo nam poddawać się mają;
6. dla zachęty obiecywano klasie roboczéj za udział w powstaniu, wyposażenie gruntem, który *podług ogólnie rozpowszechnionego przypuszczenia*, miał być wzięty z posiadłości Niemców.

Liczb nie ma w oryginale; ja dla słabéj pamięci mojéj, tudzież dla ułatwienia sobie pracy, napisałem takowe. Oglądajmy zarzuty wilka, czynione jagnięciu.

Przyznaję, że w niektórych miejscowościach zleciały godła zaboru, lecz tylko tam popełniono ten crimen laesae majestatis, gdzie nie było chwilowo władzy żadnéj, i to przez ludzi, którzy prawnie nie mogą być pociągnięci do odpowiedzialności. Wszystkim innym czarny ptak, do którego mój przeciwnik tyle ma sympatji, że aż dla obrazy mu wyrządzonéj, nam wyrządzić musi krzywdę, a swemu sercu gwałt, przez odmówienie nam tego drogocennego klejnotu, widok jego był bardzo obojętny, a władze ustanowione — zabraniały nawet wyrządzić mu krzywdę. W Środzie, Książu, Pleszewie, w Raszkowie, obecnie pewnie jeszcze są orły pruskie, malowane przed 48 rokiem. W Książu chyba je pruskie granaty spaliły. Że się władze usunęły, t. j. urzędnicy pruscy zaprzestali funkcjonować w niektórych miejscach, to było nader naturalnym wypadkiem, gdyż niełatwo było Polakowi mówić z urzędnikiem, który go nie rozumie, do czego tylko można być przymuszonym — w chwilach spokojnych, kiedy prawo mocniejszego rządzi. Już w tym pierwszym zarzucie wyłazi ucho z pod skóry lwa.

Drugi zarzut — to prawdziwie newtonowskie odkrycie; za nie jestem wdzięczny zacnemu deutschen Bewohnerowi, bo nim mi daje dowód, że widząc własnemi oczyma, grubo mylić się można. Z Lyellem muszę powiedzieć: „wierzę, bo mi Pan to powiadasz, nie wierzyłbym, gdybym sam widział.“ Byłem ja w roku 1848 z kolei w trzech obozach, w średzkim, książkim i pleszewskim. Wszędzie widziałem, że nam obywatele z okolicy na swoich nawet własnych fornalkach przysyłali żywność dla ludzi i koni i pamiętam ja dobrze, że z własnéj sakiewki za wszystko płaciłem, co u kupca, — czy to Polaka, czy też Niemca, — znalazłem potrzebnego dla siebie. Niemieccy kupcy nawet wiele sprytu przy tem pokazywali, bo mi w Książu jeden był łaskaw ustąpić pudełko cygar za 4 tal., za które w innym czasie nie byłby wziął 8 złotych. No cóż z tego, umiał drzeć tylko, póki się dało.

Jednak teraz pokazuje się, że — to wszystko było rekwirowane, zapewne gwałtem odebrane od sympatyzujących z nami Niemców; popełniliśmy, by mówić z ojcami *Tygodnika Katolickiego*, zbrodnią patrjotyczną, choć do niéj kilku z nich należało, i pokazuje się teraz widocznie, że człowiek w naszych czasach, już nawet oczom swym wierzyć nie może. Ileż to ci biedni Niemcy od nas cierpieli w owym roku 1848. Aż strach!

Najlepszym dowodem tego jest belka barykady; aż jeszcze mam ślady tego na głowie, jak mi jeden zagorzalec, — zapewne Polak — rewolucjonista, — zerwał polską kokardę z czapki, a w gorączce wyrwał garść włosów i ledwie mi ucha nie urwał. Kiedy jednak przy téj sposobności czapka chciała mi zlecieć z głowy, przybił mi ją do głowy, tak że jeszcze obecnie mam bliznę świadczącą o tem — kto kogo do noszenia swojéj kokardy przymuszał.

Jakto źle być ignorantem, jakim ja jestem, na moje nieszczęście, tego najlepszym dowodem następny zarzut.

Dotąd byłem pewny, a — nawet o tem często pisałem do polskich czasopism i co więcéj, także i do jednego niemieckiego, — że obywatele polscy oddalili swych niemieckich rządców dla tego, że oni właśnie należeli w swéj ojczyźnie do fusów, a nie mogąc tam znaleść utrzymania, przyszli do nas — by nas uszczęśliwić. Kiedy się jednak przekonano o ich wartości, co tylko zbyt późno nastąpiło, wypędzono ich z miejsc i oddano takowe Polakom, którzy się tymczasem także nauczyli byli tajemnicy urządzania płodozmiennego gospodarstwa. Gdyby ci Niemcy byli coś warci, byliby pozostali w swéj ojczyźnie, gdzie nawet obecnie jeszcze dobry gospodarz znajdzie kawałek chleba. Żeby zaś w roku 1848 i kilku latach potem już u nas polowano na protestanckie dusze, by je na katolicką wiarę przedzierzgnąć, dotąd nie wiedziałem, bo zawsze sądziłem, że ta praca dla nieba od niedawna u nas się datuje, kiedyśmy poprzednio pracowali tylko dla Królestwa Polskiego na ziemi. Ileż to niewiadomości tkwiło we mnie; jakie to szczęście, że mnie taki niemiecki mieszkaniec oświecił. Szkoda, że się nie spostrzegł, a zapewne ci, których chciał bronić, nie będą mu bardzo wdzięczni za tajemnicę, jaką zdradził. Przyznaje bowiem, że było bardzo wielu podłych pomiędzy tymi urzędnikami gospodarczymi, którzy dla nędznego kawałka chleba byli w stanie wyrzekać się swych zasad religijnych i politycznych, aż do zaparcia się swego nazwiska. Czyż warto było takich ludzi trzymać? czyż warto było bronić ich z taką czułością, jak to czyni mój arcyczuły przeciwnik? Wszakże uczciwy człowiek za kawałek chleba nigdy się jeszcze nie wyrzekł swych zasad! Nie mówmy już o tych, co to jednak zrobili.

Mój przeciwnik pokazuje, że jest wielkim mężem stanu, może być, że kiedyś jeszcze wyjdzie na kanclerza państwa Monaco, lub prezydenta Rzeczypospolitéj Andorry, w jakiem to stanowisku zapewne wprowadzi zasadę nader szlachetną, że każdy przybywający cudzoziemiec w państwie przez niego rządzonem, będzie mógł naturalizować się, a żyć podług praw téj części Germanji, z któréj przybył, a może jeszcze lepiéj, narzucać swoje prawa mieszkańcom tych państw. Polakom, w obec innoplemieńców nie służy prawo, aby każdy, mieszkający na ich ziemi, stosował się do praw, podług których oni się rządzą. W Niemczech trzeba się koniecznie stosować do praw każdego państwa, nawet do niegdyś wielkiego państwa Landgrafa Hessen-Homburgskiego. Na polskiéj ziemi — — Ja Bauer das ist ganz was anders. Jak tylko Niemiec przyjdzie do Polski, zaraz Polacy powinni przyjmować jego prawa, bo od tego on Niemiec, szerzyciel kultury! My proponowaliśmy braterstwo, a chcieliśmy naturalnie, aby ten brat w naszym domu, stosował się do nas, — a brat-przybysz chciał, abyśmy się do niego stosowali [illegible] że Niemiec, miał do tego wszelkie prawa! To rozum[illegible]ecnie; dawniéj, przed odebraniem nauki, tego nie wiedziałem wcale, a nawet o tem nie marzyłem.

W końcu powiada szanowny obrońca Niemców w Poznańskiem, że obiecano naszym ludziom ziemię za obronę kraju i praw, ale dodaje naiwnie, że podług ogólnie rozpuszczonego przypuszczenia miał być grunt wzięty na to uposażenie — Niemcom. Na złodzieju czapką gore! Sądzi wtenczas zawsze podług ogólnie rozpowszechnionego przypuszczenia i dla tak doskonałych przyczyn — odbiera nam swoje sympatje. Jaka szkoda! O reszcie reklamy prawie i nie warto mówić. Każdy wie, że z Niemiec sprowadzono kolonistów, jeszcze w czasach onych nawet, kiedy Polska była potężna. Przyczyny wyjaśniłem w moich studjach. W owych to czasach Niemiec, który przybył do Polski, nie myślał narzucać jéj swoich praw, i owszem starał się o indygenat. Z owych to czasów, — w których zresztą Germanja była rozdrobiona na jakie trzysta państw, częstokroć mikroskopicznego kalibru, — datuje się powstanie licznych rodzin polskich z niemieckiemi nazwiskami, a których potomkowie przybranéj ojczyźnie rodziców, uważając ją za swoją rzeczywistą, znamienite wyświadczyli usługi i ochoczo się dla niéj poświęcali.

Tych niktby nie śmiał porównywać z jeżem niemieckiéj bajki. Lecz żeby przybysz, — czy sprowadzony, czy dobrowolnie szukając chleba na naszéj ziemi, miał mieć prawo utworzyć państwo w państwie, tego ani Kurfirszty brandenburscy, ani tem mniéj późniejsi królowie pruscy nie dali przykładu, z emigrantami z Hollandji, Francji, Bambergu itp. Lecz Polacy byli powinni cierpieć, aby przybysz robił, co mu się podobało, bo ten przybysz to Niemiec, das ist ganz was anders! To logika — hegelowska zapewne, a my musimy ją przyjąć pod karą nie uzyskania w przyszłości — serdecznéj sympatji Niemców, o którą nikt nie prosił.

Wiemy i my, że hr. Edward Raczyński powiedział o Polakach i Niemcach, że to dwa szczepy, które dla wspólnego dobra obok siebie żyć mogą, lecz z których się nigdy nie zrobi amalgama.

Nie my też pierwsi starali się o to, aby nie żyć w zgodzie z Niemcami, lecz oni gwałtownie o to się ubiegali, aby nie żyć obok nas i z nami, lecz na naszem miejscu, i abyśmy sobie szukali ojczyzny, gdzie się nam podoba, bylebyśmy im pozostawili naszą. Długo to oni szukali dobrego miejsca, ojczyzny. Pieśń Arendta o tem świadczy. Nie wiedzieli, czy ona nad Renem, Neckarem, Dunajem, Bałtykiem — das Vaterland muss grösser sein! I otóż nad Wisłą ów Vaterland długi czas nieokreślony i nie nazwany przez Arendta, znaleźli ci, których nasi przodkowie gościnnie przyjmowali — jak kret jeża!

Z resztą i pan Raczyński mylił się. Amalgama z narodów się nie zrobi, gdyż amalgama nie jest chemiczną, organiczną jednością, różnorodnych pierwiastków — a narody są właśnie czemś organicznem.

Jak europejskie ludy mają jeden początek, niby z jednego źródła pochodzą jak rzeka, która jak w biegu rozlewa się w rozliczne ramiona, tak znów w jednę ogromną, płodną całość się zleje.

Kiedy? kiedy interesa dynastyczne przestaną wyradzać namiętności ludów; kiedy ludy zaprzestaną ubiegać się o hegomonją polityczną, uważając słabszych za Helotów; kiedy narody tylko ubiegać się będą o prawdziwą cywilizacją, do któréj każdy cząsteczkę swego ducha dołoży; kiedy prawdziwa ludzka miłość zapanuje w sercach wszystkich, i ludy między sobą uważać się będą za dzieci jednéj matki — wtenczas znikną różnice, a ze Słowian, Germanów, Romanów i Skandynawów powstanie jeden naród — naród cywilizacji, w którym nie będzie śladu amalgamy, jak go nie ma w żadnym organicznym utworze natury.

Aż do owego czasu — nie pragnę ja, w imieniu mojem i mego narodu, sympatji żadnego narodu, nawet nie pragnę tego miłego pitié mego wielce szanownego deutschen Bewohner der Prowinz Posen. Potem zaś ludzkość będzie wielka duchową pracą wszystkich jéj cząsteczek, i szczepy będą mieszkać obok siebie i z sobą bez sympatji a w uznaniu, że każdy jest potrzebnym dla organicznéj całości. To będzie naród Nowo-aryjski.

Choćby cały wiek geologiczny przeszedł, zanim się to spełni — ale spełnić się musi, bo naszem przeznaczeniem nie jest walka i zwierzęcość, a pokój i ludzkość.

Uderzyłem w stół, nożyce się odezwały!

Wągrówiec 19 lutego 1871. A. K.

Korespondencja z Krakowa.

Kraków d. 15 marca.

Drugą nagrodą uwieńczona, konkursowa komedja p. Bałuckiego: „Pracowici próżniacy“, przeszła szczęśliwie próbę sceniczną. Czysto krakowska publiczność przyjęła pracę ulubionego swego autora życzliwie, pod względem zaś krytyki zdania są bardzo podzielone, i jak to zwykle u nas bywa, poruszają się w skrajnych ostatecznościach.

Nie życząc sobie polemiki z pewnymi ludźmi, którzy krytykę poniżają do posług swoich osobistych sympatji lub antypatji, a autora traktują stosownie do jego przekonań politycznych lub religijnych, pomijamy milczeniem motywa ferowanych tu wyroków i przechodzimy wprost do rzeczy. —

Treści utworu p. Bałuckiego podać niepodobna, takowéj bowiem właściwie nie ma. Utwór ten nie jest również komedją, lecz po prostu obrazem scenicznym, przedstawiającym wyborne typy pochwytane na gorącym uczynku ze zręcznością i dokładnością, godną zaiste talentu p. Bałuckiego. Dobrane grono szerszeni towarzyskich, psotników okłamujących siebie i drugich, tem szkodliwszych, że się na nich albo zupełnie nie zwraca uwagi lub też przez nieświadomość bierze za [illegible], występuje tu na scenę w całéj okazałości. [illegible] pierwszego zaraz aktu widzimy tych wybornie nazwanych „pracowitych próżniaków“ zupełnie uformowanych i gotowych do dalszego procesu, który został przez autora przeprowadzony równie zajmująco, jak dowcipnie. O ile jednak główne charaktery „próżniaków“ skreślone są w całości i szczegółach z niezrównaną trafnością, o tyle dramatyczna budowa utworu wiele zostawia do życzenia, a nić intrygi, wiążąca całą bajkę tak jest w skutek tego miejscami pogmatwaną, miejscami zaś naprężoną, że rozplątanie odbyć się musiało kosztem naturalności i prawdopodobieństwa.

Streścić całości, jak już powiedzieliśmy, niepodobna, całość nie ma bowiem ani zawiązania, ani końca. Każden z „próżniaków“ wyposażony został odpowiednim kapitałem komizmu, każdy na swój sposób bawi i śmieszy publiczność przez trzy akty i przy spadaniu kurtyny każden zostaje takim, jakim go przy otwarciu widzieliśmy. —

Oddawszy hołd udatnéj charakterystyce próżniaczych typów, dodać teraz winniśmy, że postacie literata Maurycego i Jadwigi Propfstein, którym autor chciał nadać charaktery dodatnie, najsłabiéj zostały nakreślone. Maurycy, ów biały kruk nauki i pracy pośród czarnego stadka pustogłowych próżniaków, zbyt chwiejne zajmuje stanowisko, posługuje się zużytemi ogólnikami i nie daje żadnéj rękojmi stanowczéj samowiedzy. Dobrze bardzo

robi ośmieszając stowarzyszenia, zawiązywane ku większéj chwale panów prezesów, sekretarzy, wydziałowych i restauratorów, ośmiesza jednak po części i siebie, wnosząc zawiązanie tak zwanego (przez siebie) stowarzyszenia wspólnéj pracy i wspólnéj pomocy. Wspólnéj pracy — jakiéj? wspólnéj pomocy — jakiéj? Maurycy tego nie określa! Jakaż może być zresztą wspólna praca i wspólna pomoc stowarzyszenia, którego pierwszym warunkiem jest, aby członkowie nie miewali z sobą nietylko narad, ale nawet styczności? Gdzież więc autor widział wspólność, a gdzie pracę, któréj głównym warunkiem produktywności jest zorganizowanie? Nie myślcie przytem, żeby Maurycy zaimprowizował ten istotnie osobliwy projekt, — zapowiedział on go dziś, a wygłosił na umówionem zebraniu w czytelni nazajutrz — po całodziennym więc namyśle, a może bezsennéj nocy ruszył konceptem, o którym nie ma co mówić. —

Co do Jadwigi, o któréj jeden z krakowskich recenzentów napisał, że jest jedynym w komedji materjałem na uczciwą kobietę, — to rzecz ma się w bardzo prosty sposób. Jadwiga, córka apostoła stowarzyszeń, Januarego Prezesowicza, kochała kiedyś Maurycego, poślubiła jednak żydka Propfsteina, ponieważ ten jest bogatym bankierem. Po kilku latach słodyczy spożytych w ramionach wygód i zbytku, spotyka u wód Maurycego. Stara miłość odżywa, i jedyny materjał na uczciwą kobietę robi formalne wyznanie namiętnych uczuć dawnemu kochankowi. Biedny Propfstein.. nie bójcie się jednak o niego — Maurycy szlachetny literat chłodzi zawsze kochaną Jadwigę i naprowadza ją na drogę cnoty i wiary małżeńskiéj. Piękny materjał na uczciwą kobietę, ponieważ zaś recenzent zarącza, że „jedyny“, to cóż pomyśleć o innych kobietach utworu p. B., których jednak jest jeszcze cztery, licząc w to służącą kąpielową. —

Gra artystów była staranną, a wyśmienita charakteryzacja niektórych, jakkolwiek ze względu na lokalność może uszczypliwa, przyczyniła się jednak wielce do powodzenia sztuki, która nieustannie zapełnia teatr. — PP. Zamojski (Doktór) i Fiszer (Propfstein) są ciągle bohatyrami wieczorów. W p. Ładnowskim (Maurycy) dziwiły nas widocznie z umysłu przybrane pozory niepospolitéj rubaszności. —

* * *

Autorowi wymierzonego przeciw nam artykułu w „Czasie“ p. t.: „Krzyknęli: nie pozwalam...“ oświadczamy, że odezwanie się jego stoi niżéj polemiki. Ograniczamy się zatem na uprzejméj prośbie, aby w przyszłości stając w swojéj lub czyjéjkolwiek obronie, zechciał rachować się z tonem i powodować większą względnością, lub... artykuł podpisał.

Sapienti sat. O'Le.

O wolności politycznéj.

Krytyczne uwagi nad XI i XII księgą dzieła Montesquiego: „Esprit des Lois.“

Wykład publiczny w kwietniu 1868 r. w sali Tow. Nauk. Krakowskiego

przez

Dr. W. M. Olendzkiego.

(Ciąg dalszy.)

Po tych kilku wstępnych uwagach przystępujemy do właściwego przedmiotu:

Karol de Secondas Baron de la Brède et de Montesquieu urodził się w r. 1689, t. j. w czasie, kiedy wyparta z Niemiec i Francji wolność, głosem rewolucji angielskiéj czynnie o zgwałcone swe prawa dopominać się zaczęła. Starannie, prawdziwie arystokratycznie wychowany, usilnemi pracami młodości przygotował Montesquieu swój umysł do głębokich badań, podróżując dużo, poznał świat i wszystkie prawie ówczesne znakomitości, mieszkając zaś zawsze na prowincji i zdala od przepychu dworskiego, oddając się już od 27 r. życia sprawowaniu urzędów, miał sposobność poznania dotykalnego całéj nędzy, jaką samowolne i samolubne rządy Ludwika XIV. na kraj sprowadziły. Pierwszem dziełem, które zjednało mu sławę, są wydane w roku 1721: „Listy perskie“, wyszydzające jadowitym dowcipem stosunki kościelne i polityczne owego czasu. W roku 1734 wydał Montesquieu swoje „Spostrzeżenia nad przyczyną wielkości i upadku Rzymian“ jakoteż „Uwagi nad Monarchją uniwersalną w Europie“, obejmujące plan, jaki w największem swojem dziele: „O duchu praw“ wydanym po 20-to letniéj pracy w r. 1748 wykonał.

O niezmiernéj popularności dzieła tego świadczy najlepiéj to, iż w niespełna dwa lata po pierwszem ukazaniu się, doczekało się 22 wydań. Dzieło to zjednało Montesquieu'mu wielką sławę, lecz zarazem wiele przykrości. Posądzany o ateizm, na śmiertelnem nawet łożu był nagabywany przez Jezuitów o odwołanie wielu wyrażeń, na co oświadczył, iż jeżeli dla Religji gotów jest wszystko zrobić, to dla Jezuitów nic zgoła nie uczyni; w krótce potem w dniu 10 Lutego 1755 r. oddał swego wielkiego ducha.

Już ku końcowi panowania Ludwika XIV. umysły zaczynają przygotowywać zasady nowéj polityki. Książęta Beauvilliers i Bourgogne w poufnych mowach, Fenelon zaś, opat de St. Pierre, znany utopista i margrabia d' Argenson w pismach, wykazują konieczność wprowadzenia w życie polityczne wolności i ograniczenia władzy obsolutnéj, — wszystko to jednak są słabe próby, których z oryginalną zupełnie teorją Montesquieu'go porównywać nie można.

Był czas, w którym panował zwyczaj porównywania Montesquieu'go z takimi politykami, jak np. Machiavel, Bodin lub Vico, usiłowanie to jednak uważamy za zupełnie naciągniętą i próżną pracę. Montesquieu korzystał bezwątpienia z uczonych prac Bodina i głębokich filozoficznych dociekań Vico, ustępując im obu jednak w głębokości wiedzy, ma tę wyższość, iż aplikując do swych studjów równie jak oni, filozoficzne spekulacje i objektywne zapatrywanie się historyka, jest jasny i przystępny. — Tyle co do formy. —

Treść zaś i cel dzieła: „O duchu praw“ da się najlepiéj określić własnemi słowami Montesquieu'go: „Nie przypadkowy fatalizm, lecz odwieczny, pierwotny „rozum rządzi światem (raison primitive). Prawa „w najszerszem pojęciu, są koniecznemi, z natury rzeczy „wypływającemi stosunkami, pomiędzy pierwotnym ro„zumem a różnemi istotami, i pomiędzy istotami temi „między sobą. Istoty rozumne posiadają nietylko te „prawa, które same ustanowiły, lecz i te, które od „nich zawisłe nie są. Nim bowiem istoty rozumne „istniały, istniała możebność ich bytu a więc może„bność różnych stosunków, zatem możliwe prawa.“ Te to odwieczne prawa, mające za zasadę od praw pozytywnych niezależną ideę odwiecznéj sprawiedliwości, są właściwie tem, co Montesquieu nazywa: „raison primitive.“ Daléj odróżnia Montesquieu prawa natury od praw

pozytywnych. Prawa natury, mówi on, są tak nazwane, ponieważ wypływają jedynie z ustroju naszego jestestwa. Pierwszem prawem natury jest to, które zapisując w naszem sercu ideę Stwórcy, wznosi nas ku niemu. Człowiek w stanie natury, stara się przedewszystkiem o utrzymanie swego bytu, poczucie zaś swéj słabości robi go bojaźliwym i nakazuje szukać pokoju. Obok tego poczucia słabości, wyrabia się poczucie potrzeby utrzymania życia przez wyszukanie sobie pokarmu: to jest drugie prawo natury. Uczucie bojaźni nakazujące człowiekowi stronić od drugich, jest wspólne wszystkim; dodawszy do tego pociąg rodzajowy i właściwą każdemu zwierzęciu nawet przyjemność znoszenia się z podobnemi sobie tworami, zobaczymy, iż trzeciem prawem natury jest dążność zbliżania się. Czwartem zaś prawem natury jest wrodzona człowiekowi potrzeba życia towarzyskiego i łączenia się w towarzystwa. Jak skoro połączenie ludzi nastąpi, tracą oni uczucie słabości i równość między nimi ustaje, a zaczyna się stan wojny, nietylko między narodem a narodem, lecz też między osobnikami, z których każdy stara się obrócić na swój pożytek korzyści, wynikające z życia towarzyskiego. Oba te rodzaje wojny nakazują ludziom ustanowić rządzące ich wzajemnemi stosunkami normy pozytywne.

W ten sposób powstaje podług Montesquieu'go:

1. **Prawo międzynarodowe**, (droit de gens) regulujące stosunki między narodami, zaludniającemi ziemię i mające zasadę robienia sobie jaknajwięcéj dobra w czasie pokoju, a jaknajmniéj zła podczas wojny.

2. **Prawo polityczne**, regulujące w państwie wzajemne stosunki rządzących i rządzonych.

3. **Prawo cywilne**, regulujące stosunki między-osobowe obywateli państwa

Ogólnem prawem, rządzącem całym rodzajem ludzkim, jest rozum ludzi, (raison humaine) szczególne zaś ustawy tak polityczne, jak ogólne każdego narodu, winny być zastosowaniem wiernem tego rozumu w konkretnie danych wypadkach. Zastosowanie to odbywać się powinno względnie do natury mieszkańców, fizycznych własności ziemi, do klimatu, położenia i wielkości obszaru, odpowiadać ono musi rodzajowi życia mieszkańców, stopniowi wolności, jaki oni znieść mogą, ich religji i liczbie, ich skłonnościom i zasobom materjalnym, handlowi i obyczajom. Nakoniec należy brać wzgląd na stosunek, w jakim zostają ustawy do swego pochodzenia, do myśli prawodawcy i porządku rzeczy, z którego powstały. Wszystko to uwzględnić i objaśnić na objektywnych przykładach, było zadaniem, jakie Montesquieu pisząc swe wielkie dzieło, rozwiązać miał na celu.

Czy je rozwiązał? Odpowiedzieć na to przez tak, lub nie, byłoby to chcieć wprowadzić szanownych moich słuchaczy w dobry humor, danie zaś kategorycznéj odpowiedzi wymaga przynajmniéj dziesięć razy tyle czasu, ile mi na ten wykład przeznaczono. Przechodzę zatem do traktowania teorji Montesquieu'go o wolności politycznéj.

Nie ma wyrazu, zauważa słusznie Montesquieu, któryby w umyśle pojedynczych ludzi i zbiorowem zapatrywaniu się całych narodów tak różnie był tłomaczony, jak wolność. Jedni rozumieją przez ten wyraz moc składania z tronu panującego im monarchy, drudzy widzą ją w pewnéj formie rządu, lub utrzymaniu pewnych przywilejów—inni jeszcze w wykonaniu swawolnéj samowoli, t. j. czynieniu bezprawia i t. p. Był nawet naród, który na noszeniu długiéj brody zasadzał wolność. To i tym podobne drobiazgowe lub niedojrzałe interpretowanie praw wolności ze stanowiska osobistych widoków lub zachcianek, zawsze i wszędzie prowadziły do chaosu, nigdy zaś i nigdzie do objektywnéj prawdy.

Musimy tu przedewszystkiem rozróżnić trzy rodzaje wolności, t. j. wolność socjalną, osobistą i polityczną. Piewsza z nich polega na prawnie zapewnionéj możności dla każdego, wyniesienia się do najwyższego stanowiska bez względu na pochodzenie, jeżeli rozum i zasługa do tego czynią zdolnym. Zasadą jéj jest równość, lecz nie nihilistyczno-rewolucyjna, ilościowa równość, ale ta, którą Cousin w przedmowie do dzieł Platona następującemi wyrazami określa: „La vraie égalité consiste à traiter inegalement des êtres inegeaux". Druga wolność, osobista, polega na pewności osoby i mienia, na nienaruszalności domowego zacisza, na poszanowaniu honoru, związków familijnych i tem wszystkiem, co człowiek ma najdroższego — wszystkie te stosunki zapewnione są prawem, prawem tem, o którem Kant mówi: „iż jest zbiorowem pojęciem warunków, na mocy których samowola jednego, łączy się z samowolą drugiego według zasadniczych praw wolności." Trzecia wolność nareszcie, t. j. wolność polityczna, polega obok prawa stowarzyszeń na prawie brania udziału w sprawach publicznych i dawania głosu przy tworzeniu się rządzących w państwie zasadniczych ustaw. —

Różnice zachodzące między temi rodzajami wolności, są nadto widoczne, abyśmy o nich mówić mieli, wszystkie zaś mają to wspólnego, iż pochodzą z jednego źródła, t. j. z wolności ducha i woli. Duch zaś i wola, wówczas tylko są wolne, jeżeli w osobie ani jakaś pojedyncza wyłączna siła, ani chwilowy kierunek myśli i uczuć, nie bezwiedne uprzedzenia rządzą całością, lecz gdy na wskróś samowiedzą przejęta całość, życiem swem kieruje. Z takiéj tylko wewnętrznéj wolności, powstały czyn, jes twolny, lecz zarazem tylko w zorganizowanem w państwo społeczeństwie możliwy. W stanie natury każdy człowiek jest wolny a raczéj samowolny, o tyle jednak, o ile siły lub wypadkowe okoliczności temu sprzyjają, wewnętrzna bowiem sama w sobie, i dla siebie trwająca, cechę etyczną na sobie nosząca wolność jest tam rzeczą prostego wypadku, w państwie zaś, gdzie wychowanie i porządek prawny wyrabiając wolność wewnętrzną, tworzą zarazem łącznik między wolnością każdego a wszystkich, jest ona stale-prawidłowym objawem wspólnego życia. Wziąwszy te nasze uwagi za podstawę, pójdziemy daléj śladem Montesquieu'go.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przegląd literacki.

O dramatach Tołstoja.

(Dokończenie.)

Zastanowiliśmy się szerzéj nad charakterem Borysa, gdyż on tworzy całą trylogją, jak Wallenstein trylogją Szyllera. Obok niego w pierwszym dramacie jako główna osoba występuje car Iwan Groźny, w drugim car Fiodor Iwanowicz, dwa mistrzowsko skreślone kontrasty. Car Iwan, to ideał zbrodni i nikczemności, do jakiego tylko człowiek zniżyć się jest zdolny. Obok zwierzęcego okrucieństwa, zabobonna pobożność, obok olbrzymiéj dumy, podła, nikczemna pokora. Iwan własną ręką morduje otaczających go kniaziów, na rozkaz jego tysiące giną pod mieczem oprawcy, własny syn umiera pod ołowianą laską rozjuszonego ojca, a w cerkwiach

za spokój carskiéj duszy bezustanne wznoszą się modlitwy, sam car odmawia litanją za pomordowane przez siebie ofiary, przybiera suknią zakonną, zakonnikom prawi kazania, płacze i pokutuje za grzechy, a wśród okropnych zgryzot sumienia, nowe podpisuje wyroki. Biada temu, kto się ośmieli zadrasnąć dumę jego i ambicją, kto mu radzić, kto go przestrzegać lub strofować się odważy, — lecz carowi wolno uniżać się w obec bojarów, spowiadać się z grzechów i w nikczemnem upokorzeniu błagać tych o przebaczenie, których nazajutrz każe wydać w ręce oprawców za to, iż byli świadkami słabéj jego chwili. Na wieść o rzekomem zwycięztwie nad wojskami Batorego, Iwan straszną przeciw Polakom gotuje wyprawę, ich posła lżyć i śmiercią mu grozić się ośmiela; wiadomość o klęsce przejmuje go nędznym przestrachem, wysyła posłów natychmiast, aby kochanego brata swego, Stefana, zapewnić o swéj wierności i przyjaźni, aby na wszelkie zgodzić się ustępstwa, jakich zwycięzca zażąda. — Podziwiać trzeba umiarkowanie, z jakiem poeta skreślił charakter Iwana, biegłość artystyczną w skreśleniu kontrastów. Trudno to bowiem odtworzyć charakter, w którym już nic nie ma ludzkiego, w którym tak rażące mieszczą się przeciwności; trudno tutaj uniknąć przesady, trudno nie stworzyć nienaturalnéj, odstraszającéj postaci; — poeta po mistrzowsku uniknął tych błędów. – Prześlicznym jest charakter Fiodora, człowieka, któremu losy najniewłaściwiéj carem być kazały. Fiodor słabym, niewieścim obdarzony umysłem, szczęśliwy ze swą bibliją, paciorkami i obrazami świętych, czuły, kochający małżonek, byłby szczęśliwym i spokojnym, gdzieś na skromnéj siedząc wioseczce, przy pługu i cichéj pracy, zdala od rozterek światowych. Będąc carem, jak łódka na wzburzonem morzu daje się porwać każdemu bałwanowi, jak chorągiewka na dachu, zwraca się za każdym wiatru powiewem. Sprawy państwa straszą go i trudzą, boi się komukolwiek krzywdę wyrządzić, nie chce nikogo obrazić, zniechęcić, każdemu pragnie dogodzić, każdego uszczęśliwić. Poci się biedak i wzdycha nad stosami papierów, każdy podpis odwlekać się stara, na wieść o poddaniu się dwóch carów pod zwierzchność Moskwy, pyta się ze strachem: „Ale cóż ja zrobię z temi koronami, już z jedną dosyć mam utrapienia!...“ Pyszne są sceny, w których Borys i Szujscy wydzierają sobie Fiodora; biedak rozdarty na poły, raz na tę, drugi raz na ową przechyla się stronę: raz Borysa, drugi raz Szujskich oddala, a potępiwszy ich wreszcie pod wpływem Godunowa, gorzko opłakuje swą porywczość. Fiedorowi potrzebnym był Godunow, bez niego nie byłby podołał ciężkiemu zadaniu, z pokorą więc znosi przykre jego jarzmo. „Godunow to zrobi, do Godunowa z tem idźcie!“ oto zazwyczaj odpowiedź, jaką wszystkim daje, — car modlić się musi i rozwodzić żale przed ukochaną małżonką. — Wieleby jeszcze postaci zasługiwało na bliższe ocenienie, jak n. p. Marja, żona Iwana, Irena, żona Fiodora i Marja, małżonka Borysa, trzy odrębne charaktery kobiece, daléj Iwan i Wasyl Szujscy, ale dla braku miejsca na trzech głównych ograniczyć się musimy. — Pod względem rozwoju akcji i scenicznego układu poeta mniéj był szczęśliwym. W dramacie historycznym akcja o tyle łatwiejszą jest do przeprowadzenia, iż w nim nie potrzeba owego węzła dramatycznego, któryby się symetrycznie i systematycznie wikłał i rozwiązywał w oczach czytelnika; wypadki przedstawiane następują tutaj, jak w dziejach, jedne po drugich, więcéj czasowo, aniżeli przyczynowo ze sobą związane. Wypadki te jednakże odbywać się muszą na scenie. W dramatach Tołstoja nie ma tego bezpośredniego odbywania się faktów, poeta dopomaga sobie opowiadaniem, a tam, gdzie przedstawia wypadki, grzeszy przeciw wymaganiom sceny, przytem poświęca wiele scen jedyniej charakterystyce postaci. Najsłabszą pod tym względem jest trzecia część trylogji. Przejście tu od potęgi do upadku Borysa zbyt nagłe; użycie opowiadania przechodzi wszelkie dozwolone rozmiary. O klęskach Borysa dowiadujemy się zawsze przez posłów, wpływ Dymitra Samozwańca na opinją państwa przedstawiony zbyt słabo, — Dymitra, albo raczéj Otrepiewa widzimy raz tylko wśród tłuszczy rozbójników, jako obdartego włóczęgę, popychanego, kułakowanego przez łotrów, w następnym zaś akcie słyszymy o jego potędze, o wojskach, jakie z Polski prowadzi, nareszcie o osobistem jego męztwie. Przez to właśnie, iż autor nietylko zaniedbał w naszych oczach podnieść, uświetnić, spotęgować Dymitra, lecz nawet raz tylko wyprowadził go na scenę jako nędznego włóczęgę, a potem całkiem nienaturalnie, przez usta trzecich osób ogłosił go możnowładzcą i bohatyrem, przez to dał pohop naszéj krytyce do upatrzenia nielogiczności w charakterze Borysa. Słabość, obawa, nieczynność Borysa są zupełnie naturalnemi, jakeśmy tego powyżéj dowiedli, ale przyczyna tych objawów w tak niejasnych, fałszywych przedstawia nam się kolorach, iż z łatwością sameż objawy za nienaturalne uważaćby można. Dymitr, jako narzędzie kary w ręku Wszechmocnego, powinien wystąpić na pierwszy plan dramatu, tuż obok Borysa, otoczony aureolą jakiegoś posłannictwa, — stojąc zaś zupełnie w głębi, dając się poznać bohatyrem tylko przez usta trzecich osób, własną zaś osobą raz tylko jako mnich zbiegły wśród zgrai złoczyńców, wstrętne na nas czyni wrażenie. Widzimy w nim awanturnika, nie zaś posłańca bożego, nie pojmujemy wpływu, jaki mógł wywrzeć na Rosją, nie pojmujemy słabości i upadku Borysa. Upadek ten, jak powiedzieliśmy, jest naturalnym, ale przyczyny jego nie dosyć podniesione. Jak zupełnie inne zajmuje stanowisko Henryk VII w obec Ryszarda IIIgo! —

Nakoniec słów kilka powiedzieć nam trzeba o zewnętrznéj formie tych dramatów. Poeta napisał je wierszem białym, tłomacz nasz przełożył je jak najwierniéj, mową niewiązaną jednakże. Krytyka podnosi szczególniéj ujmującą prostotę języka. Ani słowa, prostota, dzisiaj zwłaszcza, gdzie najprostsze myśli szumnemi pstrzą się frazesami, gdzie w dramatach każda postać górnolotnym przemawia językiem, niestósownym ani do jéj stanowiska, wykształcenia, ani do okoliczności, w jakich przemawia, ani do czasu i miejsca, w którem żyje i działa, prostota, powiadam, jest wielką, bardzo wielką zaletą. Jednakże prostota ta winna być poetyczną. Nie można w utworach sztuki używać języka potocznéj rozmowy, nie można tak na sucho spisywać myśli, jak się pierwotnie w głowie autora kształtują, trzeba język ten uszlachetnić, podnieść, nadać mu piętno poezji. Tołstoj często grzeszy przeciw temu prawidłu, za daleko posuwając prostotę. Niekiedy myśli, namiętności, uczucia działających osób objawiają się w mowie tak suchéj i drewnianéj, iżby poetę łatwo posądzić można o niedbałe, pobieżne ich spisanie, o brak poetycznego natchnienia, o znudzenie. Na karb tłomaczenia, które zaleca się wiernością, na karb różnicy między wierszem białym a prozą, składać tego nie można bynajmniéj. Są bowiem sceny, w których autor nietylko w wyrażeniach, ale nawet w obrazowaniu i przedstawieniu wypadków staje się zupełnie naiwnym. Do scen tych należą n. p. sceny miłosne, a szczytem naiwności jest w trzeciéj części trylogji scena pierwsza aktu czwartego. Jeżeli sobie autor w tak naiwny sposób wyobraża system szpiegostwa, żałować należy, iż go los nie zrobił carskim urzędnikiem.

Skrzynka do listów.

P. L... Ż... w Kow...: Prosimy.
P. Kr... w Wieleniu: Przesłaliśmy.
P........a: Zamieścimy.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.